

Życie to cud i trzeba walczyć o każdą chwilę

O śmierci męża, ciężkim wypadku, ale i o pomocy innym ludziom w Fundacji „Mimo Wszystko” i o tym, jak najpierw musiała pomóc sobie, z **Anną Dymną** rozmawia Marek Bartosik

Lubi Pani Wielkanoc?

W ogóle lubię wszystkie święta... pomagają łapać pion, ale te Wielkanocne są najbardziej kolorowe, radosne, pełne nowej energii i siły. Wszystko budzi się do życia. Odkąd mam ogród, to te święta przeżywam razem z naturą... tak nagle wszystko budzi się i z impetem wychodzi z ziemi do słońca. Już kwitną irysy, krokusy, tulipany... codziennie pojawiają się nowe kolory. We mnie też budzą się nowe siły...

I Wielki Piątek z jego ostatecznymi refleksjami łatwo Pani zostawić za sobą?

Niczego za sobą nie zostawiam, bo musiałam dotknąć wielu rzeczy ostatecznych. Nigdy nie żyłam beztrosko, więc i święta nie były tylko malowaniem jaj czy robieniem mazurka. Tradycje pomagają święta przeżyć, ale one są dotykaniem czegoś bardzo ważnego. Są rodzinne, ale zawsze przy stole kogoś brakuje, myśli się o śmierci, o czymś, co odeszło. Grałam kiedyś piękną rolę Kory w „Nocy listopadowej”. Mówiłam: „Umierać musi co ma żyć”. Lecz gdy przychodzi wiosna, to człowiek zdaje sobie sprawę, że wszystko będzie od nowa i nic nigdy się nie kończy. Nabiera się takiej pewności, że nawet jak się stąd odchodzi, to musi być coś dalej... bo przecież wszystko wokół ma sens. Ten sens właśnie najwyraźniej odczuwam wiosną, choć przecież jestem coraz starsza i gdzieś tam już bliżej do kresu.

Miała Pani bardzo trudne chwile w życiu. Włącznie z takimi, że myślała Pani: jestem prawie martwa?

Jak odzyskiwałam przytomność po wypadku w 1978 r., długo byłam gdzieś daleko, nieprzytomna. Bardzo mi tam zresztą dobrze było. Jasno, ciepło. Powrót do rzeczywistości oznaczał ból, bo byłam bardzo poszkodowana. Z radością i ulgą, że nie boli, zapadałam się więc w tę jasną otchłań. Z momentu kiedy odzyskałam świadomość, pamiętam niewiele, bo miałam też uszkodzoną pamięć. Ale radość z tego, że jestem, pamiętam do tej pory. Myślenie miałam odjęte, wyłączane, ale emocje i uczucia mi zostały. To mi dało na całe życie pewność, że człowiek za dużo kombinuje. Ma żyć, to jego obowiązek, największy zaszczyt, szansa i radość.

A pamięta Pani ludzi, do których z tą prawdą trudno było dotrzeć?

Znam mnóstwo takich ludzi. Ale gdy pierwszy raz rozmawiałam z chorym na nieuleczalną płasawicę Huntingtona, spytałam, czy wie, na co jest chory. „Wiem”, usłyszałam. Wiesz, czym kończy się ta choroba? Znowu: „Wiem”. Więc pytam: To o czym będziemy rozmawiać? A on: „Jak to o czym? O życiu! Jakie jest piękne!”. Tacy ludzie bardzo szybko zdają sobie sprawę, że trzeba się cieszyć każdą chwilą. My, zdrowi, tego często nie umiemy robić. Ale samemu naprawdę trudno znaleźć tę wiarę. Potrzebny jest ktoś obok.

Tym kimś bywa Pani?

Czasem i ja, ale najczęściej ktoś z rodziny, i on znajduje organizacje, które pomagają. Najtrudniej dotrzeć z tym sensem do ludzi, którzy żyją gdzieś opuszczeni i przez to czasem oskorupiali, pełni goryczy, nieufności, nienawiści. Robiłam kiedyś program telewizyjny o ludziach chorych na BB. To piętnująca choroba. Chorzy na nią mają wszędzie rany, strupy. Wyglądają czasem jak trędowaci. Dzięki programowi zaczęli się kontaktować, odnajdywać. Założyli fundację i są razem. Jest im lżej. Matka Teresa mówiła, że nie ma gorszego cierpienia niż samotność. Znałam Bartka Głowackiego, uroczego chłopaka chorego na mukowiscydozę. Miał 24 lata i szczęście, bo poznał młodą, piękną dziewczynę. Wiedziała, na co Bartek choruje. Pobrali się. Była z nim do końca. Kiedy pytałam ją, po co to robi, odpowiadała, że jest jej skarbem największym i jest mu po prostu potrzebna. Bez kombinowania. I razem nawet śmierć przechytrzyli. Bo umarł w jej ramionach i był uśmiechnięty. W takich chwilach śmierć nie jest zwycięska.

zyny o ludziach chorych na BB. To piętnująca choroba. Chorzy na nią mają wszędzie rany, strupy. Wyglądają czasem jak trędowaci. Dzięki programowi zaczęli się kontaktować, odnajdywać. Założyli fundację i są razem. Jest im lżej. Matka Teresa mówiła, że nie ma gorszego cierpienia niż samotność. Znałam Bartka Głowackiego, uroczego chłopaka chorego na mukowiscydozę. Miał 24 lata i szczęście, bo poznał młodą, piękną dziewczynę. Wiedziała, na co Bartek choruje. Pobrali się. Była z nim do końca. Kiedy pytałam ją, po co to robi, odpowiadała, że jest jej skarbem największym i jest mu po prostu potrzebna. Bez kombinowania. I razem nawet śmierć przechytrzyli. Bo umarł w jej ramionach i był uśmiechnięty. W takich chwilach śmierć nie jest zwycięska.

Które z Pani doświadczeń, aktorskie czy osobiste, bardziej pomagają w rozmowach z ludźmi w takiej sytuacji?

Zawód pomaga mi w nawiązywaniu kontaktu z ludźmi, bo nauczył mnie formułowania myśli, nazywania uczuć, a przede wszystkim słuchania. Bardzo często to oni mówią, a ja tylko słucham. Do tych rozmów w telewizyjnym programie „Spotkajmy się” bardzo długo się przygotowuję. Muszę się z moimi bohaterami zaprzyjaźnić, zdobyć ich zaufanie. Zwykle się udaje. Rozmowy te wymagają ogromnej koncentracji, by nie popełnić żadnego błędu, żeby nie zrazić nikogo niefortunnym słowem. A przecież pytać muszę odważnie, dotykać bardzo trudnych i wstydlivych spraw, bo rozmowa o niczym nie ma sensu. Zwykle słyszę, że pytać mogę o wszystko, najwyżej mi nie odpowiedzą. Ale te najważniejsze pytania oni sami prowokują. Kiedyś pewien dziennikarz zarzucił mi, że idę za daleko, bo człowieka kompletnie sparaliżowanego po skoku do wody spytałam, w jaki sposób zrobił dzieci. Żonę poznał, jak był już w szpitalu. Wstydziłam się, a on był taki szczęśliwy, że o to spytałam. Bo jego największą dumą są te piękne dzieci, podobne do niego jak dwie krople wody.

Ale przecież nie jest tak zawsze, że ludzie czekają na kogoś, kto pomoże im wyrwać się z martwoży?

Są tacy, którzy położyli na siebie kreskę. W Polsce ciągle, niestety, są dwa światy: zdrowych i chorych. Te światy zaczynają się łączyć, a ja już wiem, że nie ma między nimi żadnej różnicy. Człowiek jest człowiekiem, i ten bez nóg, i zdrowy. Obaj mają takie same pragnienia. Choroba czy wypadek łączą się z ogromną zmianą całego życia. Ci ludzie często znajdują się na granicy nędzy, w samotności i ciągle jeszcze we wstydzie. Muszą zaakceptować swe kalectwo czy chorobę. Wydaje im się, że świat się skończył, aż znajdzie się ktoś, kto ich kopnie i powie: przestań się nad sobą użalać. Jak się pochylisz nad człowiekiem, dać mu tę szansę, to każdy w siebie uwierzy.

Czy Pani odnalazła kiedyś źródło tej siły, która każe się w końcu ludziom podnosić?

Cały czas się nad tym zastanawiam... Oczywiście, można tu sypnąć fajnymi cytatami i sloganami, ale weźmy to tak po sobie. Kiedy mamy siłę? Gdy ktoś w nas wierzy i czujemy się potrzebni. Gdybym rano nie miała po co wstawać, to pewnie bym zosta-



Nikt nie odpowie, jaki sens ma cierpienie, tak samo jak nikt nie powie, jaki sens ma życie

ła w łóżku. Nauczyłam się, że każdemu można cel pokazać. Są tacy, którzy są w takiej traumie, że sami go nie zobaczą. Trzeba więc im powiedzieć: potrzebuję, żebyś mi pomógł.

A jak Pani sobie z tym poradziła?

Spadały ze mnie jak huski. Najpierw nie wytrzymywałam tych rozmów. Trudno, jestem tylko człowiekiem, myślałam i ryczałam. Ludzie pokrzywdzeni podobno najbardziej nienawidzą rozczulania się nad nimi, ale ci moi widzieli, że ja nad sobą płaczę. Dochodziło do tego, że sparaliżowana kobieta mówiła do mnie z wózka: Aniu, nie płacz, wszystko będzie dobrze. Największą siłą, która obala wszystko, jest miłość. To slogan, ale prawdziwy. Jeżeli ktoś kocha życie, świat, umie zachwycać się drzewem, słońcem, to ich widok już go uruchamia do życia. Znam ludzi, którzy potrafia mówić tak pięknie o rzeczach, których my nawet nie zauważamy, bo ciągle biegniemy. Człowiek na inwalidzkim wózku, sparaliżowany nie może biegać, więc siedzi

na wózku, i potrafi zachwycać się motylem, obłokiem, uśmiechem, spotkaniem... Ja na szczęście umiem się cieszyć takimi drobiazgami od zawsze. Byłam świetnie wychowywana. Nie mieliśmy nigdy pieniędzy, ale umieliśmy docenić każdą chwilę. Potem tak mi się ułożyło życie, że nigdy nie zdążyło mi się przewrócić w głowie.

Ksiądz Tischner przed śmiercią w mękach mówił, że cierpienie nie ma sensu.

Skoro jest tak wszechobecne, to po coś musi być. Byłam teraz w Mrągowie na spotkaniu z dziećmi. I pierwsze zaraz zadało mi pytanie: „Prose pani, a po co człowiek tak cierpi”. Więc wytłumaczyłam, że po to, byśmy wiedzieli, jak jest fajnie, kiedy się nie cierpi. Jest tu pod Krakowem taki chłopiec, który cierpi na zespół Biemonda. Ale cierpi inaczej, bo ta choroba powoduje, że nie czuje bólu. My wiemy, że nie możemy sobie wyjąć oka, odgryźć sobie kawałka języka. On nie wiedział. Cierpienie to nasz stróż, który może uruchomić w nas niewiarygodne siły. Nasz papież mówił, że cierpienie to ogień, który wypala pole dla miłości.

Kiedy Jan Paweł II przyjeżdżał do Starego Sącza, na spotkanie z nim szły miliony ludzi. Wśród nich pewna dziewczyna. Nie doszła. Zabił ją samochód, który uderzył w tłum. Jej ojciec powtarzał mi potem: ona została wybrana. Czy Pani takie poczucie dostrzega u swoich podopiecznych?

Wielu z nich używa tego słowa. Gdy zaprzyjaźniam się z tymi ludźmi, zawsze w końcu zadaję im pytanie o sens. W 70 proc. mówią, że nieszczęście nie spotkało

„ Chorzy ludzie zdają sobie sprawę, że trzeba się cieszyć każdą chwilą. My, zdrowi, często tego nie umiemy robić. Ale samemu naprawdę trudno znaleźć tę wiarę. Potrzebny jest ktoś obok ”

ą chwilę

ich bez powodu. Wiele razy słyszę: Aniu, gdyby nie ten wypadek, byłbym złym człowiekiem!, albo: los tak chciał, zostałem wybrany do tego doświadczenia, musiał mnie ktoś bardzo kochać, bo wierzył, że ja to przeżyję i wytrzymam. Ludzie w takiej sytuacji próbują w ten sposób nadać swojemu cierpieniu sens. Myślę, że taka świadomość to też kwestia ciężkiej pracy ludzi, którzy są obok nich. Znałam kobietę, która czekała na przeszczep płuc. Miała nadciśnienie tętnicze, zniszczone serce, płuca, okropnie cierpiała. Kiedyś mi opowiadała: „Jednego razu tak obieram ziemniaki i nagle zrozumiałam, że to wszystko ma sens. Poczułam, że są ludzie, którzy cierpią jak Chrystus, bo to jest okropnie potrzebne. Po prostu jestem wybrana”. Powiedziała to tak bez patosu, zwyczajnie. Zaraz potem poprawiły się jej wszystkie parametry, pojechała na operację. Dostałam od niej SMS-a: Jestem przeszczepiana. Zadzwoń, jak się wybudzę. Nigdy się nie wybudziła. Ale to jest bardzo trudne. Kiedyś kilku artystów podsunęło mi pomysł, że chętnie opodatkowaliby swoje tantiemy na rzecz moich podopiecznych. Nazwałam ten projekt „Wybrani wybranym!”, bo pomyślałam sobie, że jedni ludzie wybrani są do śpiewania, tańczenia, robienia kariery, inni do cierpienia. I nie wiadomo, czyja rola jest ważniejsza. Nazwa ta wywołała wielką dyskusję. Ale myślę, że tak po prostu jest. Nikt nie odpowie, jaki sens ma cierpienie, tak samo jak nikt nie powie, jaki sens ma życie. Ja nie mam żadnych wątpliwości: życie jest cudem i trzeba walczyć o każdą chwilę, każdy oddech! I to musi mieć jakiś sens. A jaki? Nie muszę rozumieć ani wiedzieć, bo co mi z tej mądrości. Ja to czuję! Jak wtedy po wypadku.

Jak Pani te doświadczenia i rozterki przetrawia? Jaki mają sens dla Pani?

Czasami ktoś mówi: po cholere ci to wszystko. Może ma rację. No bo nie mam czasu na lenistwo, na rozrywki, na wycieczki... Ale myślę, że naprawdę robię to dla siebie, by mieć siłę. Mam 59 lat. Za chwilę przestanę grać w teatrze, bo stare baby są tam mało potrzebne. Dziecko mam coraz starsze, ma już swoje życie. Przez to, co robię, nie czuję żadnej pustki, wciąż jestem potrzebna i chce mi się rano wstawać... więc na pewno robię to dla siebie. Gdybym za to brała pieniądze, to może i sił by mi brakowało. A tak robię to tylko z radością. Choć jest to wielka odpowiedzialność i moralny obowiązek, bo przecież moich podopiecznych z Radwanowic nigdy nie opuszczę. Choćbym miała tam sparaliżowana na wózku jeździć. Jestem przecież dla nich jak rodzina. Ileż ja mam teraz dzieci i rodzeństwa! Mam o kogo walczyć i dbać. A czasem nie jest łatwo.

Opowiedziała Pani o momencie, kiedy była Pani niemal martwa. Jak Pani wtedy wstała?

Miałam 27 lat. Ten wypadek, krótko po śmierci mojego męża Wieśka Dymnego, pewnie mnie uratował, bo po pogrzebie zupełnie nie chciało mi się zbierać do życia. Katastrofa na chwilę odebrała mi pamięć wszystkiego złego, co mnie spotkało, i uruchomiła wielką radość z tego, że jednak żyję. No i miałam teatr, byłam potrzebna. Tak się pozbierałam, że jeszcze ze złamaną miednicą biegałam. A niedawno, jak się rehabilitowałam po operacji stawu skokowego, to grupę, z którą ćwiczyłam, doprowadziłam do takiego zapału, że jak ktoś tylko głośniejsze jęknął z bólu, skandowałam: „Ból to ciul, najważniejsza jest świadomość. Ból to ciul, najważniejsza jest świadomość”. Przepraszam, to magiczny cytat z Wieśka Dymnego... i pomaga!

Rozmawiał Marek Bartosik